

Zapiski z rejsu – „Squadron Dzida’s Greece Tour”

Przygodę z greckim rejssem rozpocząłem w Katowicach, gdzie spotkałem się z Łukaszem z firmy czarterowej Punt, który będzie skipperem na s/y *Niki*. Udajemy się razem do Pyrzowic i za kilka godzin, już w pełnym składzie lądujemy w Atenach.

Autobusem jedziemy z lotniska do Pireusu, gdzie mieści się port, w którym zaokrętujemy się na olbrzymiego Blue Star’a – nasz prom na Rodos.

Kierowca autobusu używa klaksonu na zmianę z hamulcem, ale widać to miejscowy styl jazdy, ponieważ na Grekach nie robił najmniejszego wrażenia. Po zakończeniu kursu, zostawił autobus na przystanku, wsiadł na swojego „ścigacza” i z rykiem silnika zniknął w świetle wieczoru.

My udaliśmy się na miejsce cumowania promu, (Każdemu, kto wysiądzie w Pireusie przy Gate 6, a ma znaleźć się przy Gate 1 proponuję złapać taksówkę. Zaoszczędzi w ten sposób długiej drogi wzdłuż portowego nabrzeża). Wsiadamy na prom. Przed nami 13 godzin rejsu i pierwsza noc na morzu.

Pogoda pokazuje pazury wczesnym rankiem. Zacinający deszcz i 10 stopni ciepła budują nasze wyobrażenie o październikowym rejsie.

Na Rodos docieramy około południa. Schodzimy na ląd i poznajemy Vassilisa. Wita nas z uśmiechem, łapie bagaże i powtarza w kółko „You pay nothing”. Zdziwieni, ale zadowoleni ładujemy worki na jego auto. Grek każe nam iść do mariny na piechotę, ale mając w myślach wycieczkę po Pireusie szukamy transportu. Znajdujemy żółtą ciężarówkę i jedziemy na pace do mariny. Zaoszczędzamy w ten sposób ok. 3 km spaceru, na który nikt chyba nie ma ochoty.

Jak się okazuje Vassilis jest właścicielem jednego z dwóch sklepów znajdujących się w mairnie i „You pay nothing” znaczy „zróbcie zakupy w

moim sklepie”. Sprytnie, ale nie widzimy powodu by odmawiać. Prowiantujemy się i jesteśmy gotowi by odebrać jachty.

Czekamy około dwóch godzin. Grek zawozi nasze rzeczy na piers i wraca do swoich spraw. Marina Mandraki nie ma właściwie żadnej infrastruktury, podobnej do tych, które znamy z Chorwacji. Paliwo dowozi cysterna wprost do jachtu, a prysznice i toalety, hm.. skromne.

Nic to, są nasze jachty. Grek, od którego odbieramy łodzie nie należy do najlepiej zorientowanych i gdy pada trudniejsze pytanie drapie się po głowie i szuka wyjścia. Kończymy odbiór i zaczynamy wieczór.

Opuszczamy Rodos dopiero o 1500. Najpierw mamy problem z pompą wody, później z instalacją gazową. Usuwamy usterki i wychodzimy. Mijamy rodyjskie jelenie i stawiamy żagle. Szczęście trwa krótko. Pierwsze milknie radio, chwilę później słyszymy trzask płótna i genua wychodzi ze sztagu. Zwijamy ją „na foka” i płyniemy dalej. Robert idzie za nami. Też nie długo.

Widzimy jak odpada w prawo i zwija żagle, ma awarię steru. Zakłada rumpel i wraca do portu. Umawiamy się rano na Astypalai, pierwszej wyspie na trasie.

Noc jest jasna. Tniemy fale, które rozbijane dziobem mienia się kolorami świateł sektorowych. Mamy dobry wiatr, idziemy kursem wprost na wyspę.

Około 0500 widzę na wodzie ciemny kształt. Żadnych świateł. Sprawdzamy z Grześkiem przez lornetkę i zaczynamy się zastanawiać czy nie wpływamy w strefę ćwiczeń. Korweta stoi nieruchomo, mijamy ją w odległości mili. Woda srebrzy się w blasku księżyca, pijemy wachtową kawę, kurs 300.

Ranek zastaje nas na 2 godziny przed Astypalay’ą. *Pandora* jest już na miejscu. Cumujemy przy nabrzeżu promowym. Miasto wygląda jak przeniesione z ubiegłego stulecia. Jedyne stojący na brzegu samochód Coast Guard’u przypomina, że to XXI wiek.

Schodzimy na ląd i kierujemy się do miasteczka. Na śniadanie trafiamy do restauracji o „greckiej” nazwie Australia. Starsza Pani przygotowuje

nam jajecznicę, zatrudniając nas przy okazji do pomocy. Panuje domowa atmosfera i to jest najważniejsze.

Po śniadaniu wracamy na jachty. Spotykamy pelikana, który okazuje się być miejscową atrakcją. Wielki ptak spaceruje po ulicach i nic sobie nie robi ze skuterów i samochodów. Zdejmujemy genuę i zabieram się do szycia. Dzień mija w siąpiącym deszczu. Wieczorem odwiedza nas dwóch Polaków, którzy mieszkają na wyspie.

Rano okrętuje się na pokład *Pandory* by pomóc Robertowi i wychodzimy w morze. Przed nami dzień drogi na Amorgos. Pogoda jest dobra, radość żeglowania psuje niestety ster. Morze coraz bardziej kołysze, refujemy grotą i wspomagamy się silnikiem. To daje optymalny sposób kontrolowania jachtu. W ten sposób płyniemy ok. 2 godzin. Wiatr wzmacnia się coraz bardziej, oceniam, że może już mieć ponad 20 kts, fale zaczynają witać w naszym kokpicie.

Wiatr przybra na sile i mamy jakieś 30 – 33 kts. Staram się trzymać wyznaczony kurs, płyniemy... Robert się śmieje, że na to czekałem, no i co tu kryć, trochę tak... W świetle gasnącego dnia widzimy już Amorgos, ale by wejść do Katapoli musimy jeszcze opłynąć wyspę. Podchodzimy na około 2Nm do brzegu, mając nadzieję na osłonę lądu.

Idziemy wzdłuż wyspy. Dienne światło pozostało jedynie wspomnieniem. Idę ostro na fale i staram się podejść jak najbliżej lewego brzegu. Białe grzywy fal rozbijają się o skały. Zwrot w prawo i mamy falę z lewego trawersu. Prąd spycha nas na prawą stronę przesmyku, staram się utrzymać kurs. Przechodzimy. Przed nami z prawej burty widzimy światło latarni stojącej na wejściu do Katapoli.

Na mapie latarnia oznaczona jest 2 FL/8, a w praktyce liczymy i nie wychodzi inaczej jak 3 FL/10. Zastanawiamy się jeszcze gdzie jest źle i ufamy jednak... sobie. Zwrot, jacht ześlizguje się na prawą burtę z fali, poznaję smak wody, prostujemy się i szybko dowiaduję się jak wygląda woda z lewej burty.

Zastanawiam się, dlaczego nie ma na pokładzie niczego, w co mógłbym wsunąć stopy, zamiast latać nad nim trzymając się koła. Jeszcze kilka smagnień wody i wchodzimy do zatoki.

Cicha, spokojna wydaje się być z innego świata. I tylko nieoświetlona ostroga w środku portu podrywa nas jeszcze raz na nogi. Mijamy się w odległości 2 metrów. Cumujemy obok nabrzeża promowego i schodzę na ląd. Wracam na *Niki*. Moja załoga też miała swoje przeżycia i dużo wody w kokpicie.

Na Amorgos spędzamy dzień. Wypożyczmy skutery i zwiedzamy wyspę. Chcemy zwiedzić wiszący na skale monastyr oraz stanowiska archeologiczne znajdujące się na wyspie.

Kolejnym portem na naszej trasie jest Naxos. Wyspa, na której według mitologii Tezeusz pozostawił Ariadnę, a my mamy mieć naprawiony ster na *Pandorze*. Zwiedzamy miasto, oglądamy imponującą Bramę Apollina i wracamy na jacht. Spec od steru właśnie pracuje, niestety niewiele robi i umawia się na rano. Robert chce, by był o 0600, co kwituje śmiechem i uwagą co to on nie robi o 0600, zgadza się na 0800.

Następnego dnia kierujemy się na Paros, gdzie zażywamy paździenikowej kąpieli przed drogą na Santorini. W Polsce podobno jest 12 stopni ciepła i pada.

Do Santorini dopływamy ok. 1700. Tankujemy wodę i stajemy na boi dla promów. Wkrótce na tej boi stoi osiem jachtów tworząc wielką pajęczynę cum.

W mieście poznajemy przemiłą Ukrainkę, pracującą w jednym ze sklepów jubilerskich. Katia, mieszka tu z mężem i córką. Mówi, że jest im tu dobrze. W Doniecku, z którego pochodzą nie byli od czterech lat.

Katia wysłała nas do miasta oddalonego od Thiry o 12 km, Oio. Za euro od osoby jedziemy na północ wyspy. Dojeżdżamy i naszym oczom jawi się widok jak z bajki: domki trochę bardziej kolorowe niż w innych miasteczkach, podświetlane baseny i uliczki wypełnione malutkimi sklepikami. Około 2000

wracamy do Thiry i zjeżdżamy na jacht kolejką linową. Wieczór mija spokojnie i zaczyna się noc na wulkanie.

Z Santorini idziemy na Folegandros – była wyspę skazańców. W porcie luksusowy jacht motorowy pod brytyjską banderą, dwa inne oraz statek, który jak się dowiedzieliśmy przywozi tu wodę (na wyspie są podobno tylko dwie studnie). Z braku ruchu wchodzimy na żaglach, bawiąc się w halsówkę prawie do samego nabrzeża.

Wychodzimy następnego dnia o 0800 mając na celu Milos, wyspę Afrodyty znanej bardziej jako Wenus z Milo. Mamy wspaniałą pogodę, wieje dobre 4B, świeci słońce, około 1200 jesteśmy na miejscu.

Tu miłe zaskoczenie. Szerokie nabrzeże z wodą i prądem, cumujemy rufą i zaczynamy dzień na Milos od doprowadzenia jachtu do porządku. Zmywamy sól z pokładu, bierzemy kąpiel na piersie i przygotowujemy się do zwiedzenia miasta. Pojawia się Krzysztof, Polak który mieszka na Milos już kilkanaście lat. Organizuje nam mapę wyspy, załatwia samochody i mówi, mówi i jeszcze raz mówi. Niekończąca się opowieść o nim, o biało-czerwonej banderze, o Polakach, którzy tu przyplłynęli przed nami.

Słońce nie zawiodło. Zwiedzamy wyspę, katakumby, amfiteatr, kilka innych miejsc, w tym wspaniałe klify.

Dojeżdżamy do Plaki, gdzie zostawiamy auta. Najpierw Wenus. Dziś jest tu marmurowa tablica z napisami w czterech językach. Słońce grzeje coraz mocniej, polar ciąży, może w katakumbach się przyda... Amfiteatr, odrestaurowany przez Rzymian wita nas sceną, fragmentami bogato zdobionych kolumn i portali.

Sprawdzam akustykę deklamując fragment „Pana Tadeusza” (szkoda, że nie znam na przykład „Antyfony”). Efekt rewelacyjny, nawet Ci, którzy siedzieli na najwyższych rzędach, słyszeli doskonale. W katakumbach niespodzianka – żadnych biletów, proszę wchodzić, oglądać. 20 metrów i koniec... klnę polar i wychodzę. Na pocieszenie jakieś 100 metrów dalej widzę

dziurę w skale i przedzierając się przez gałęzie wchodzę do środka, korytarze giną w ciemności. Wracamy do Plaki, po obiedzie ruszamy zwiedzać klify.

W morze wychodzimy około 1900. Noc robi się zimna, w końcu za chwilę listopad... Przed nami Kithnos, ostatni port na trasie do Aten.

Do Merikhy dochodzimy ok. 0230. Jak się rano okazuje najlepiej się tu schronić przed Meltemi, bo po nic innego nie warto zawijać. Odkąd zakończono w starożytności wydobywanie rudy żelaza, nic się nie zmieniło i nic się nie dzieje...

W porcie przedstawia nas drobnicowiec, robi się głośno. Żwir, kurz, ciężarówka, dźwigi. O 1340 wypływamy "pogiąć" łódkę w kierunku jednej z zatok na północy wyspy. Na kursie mamy grecki statek, którego kapitan, na widok nagłych zwrotów rozkłada bezradnie ręce, zmienia kurs i macha nam na pożegnanie.

Zawijamy do zatoki. Obiad, kąpiel, wędkowanie i wieczorem decydujemy się na powrót do portu. Na główkach spotykamy „naszego” Greka, który wita nas syreną. Wieczorem próbujemy znaleźć coś interesującego, ale bezskutecznie. Kładę się spać, rano ruszamy do Aten.

Ostatni dzień na morzu... Patrząc pod wschodzące słońce na łódkę Roberta. Postrzępiona grecka bandera powiewa na achtersztagu. Czekam aż się rozwieje i wtedy postawimy żagle. Kea została za rufą... Nie mogę pić herbaty. Woda na wyspach ma czasem słonawy smak.

Robimy krótki przystanek i zwiedzamy Świątynię Posejdona na półwyspie Sounion. Mamy trochę szczęścia, w tym dniu wejście jest bezpłatne.

1720 czasu lokalnego. Od godziny płyniemy wzdłuż Aten. Zostały 3 Nm do portu. W oddali widać Akropol i kopułę stadionu Panathinaicos'u, domy, wille, wielkie mrowisko.

O 1820 rzucamy cumy. Niesamowity widok, mnóstwo jachtów, wielkich motorowych ścigaczy, luksusowych motorówek. Największa marina, jaką widziałem. Zdajemy jacht. Spodziewamy się nurka, w ogóle odbioru podobnego

jak w Chorwacji... Niestety nic takiego nie ma. Zgłaszane usterki Grek przyjmuje kiwaniem głowy. Nie stresuje go naprawiana genua (wytrzymała!), wszystko ok, cóż, co kraj to obyczaj.

Rano ruszamy zwiedzać Ateny. Mamy takie przemyślenia, że ludzie, którzy budowali starożytną cywilizację Grecji byli... mało greccy... Na swój czas wysocy, jasnowłosi, niebieskoocy...

Muzeum na Agorze. Wrażenie robi złota biżuteria. Oprócz tego broń, miecze, tarcze, ceramika. Wszystko wspaniałe.

Ruszamy na rejs po sklepikach i straganach. Więcej oglądania niż kupowania. Ceny zdecydowanie różne, niekoniecznie dużo wyższe niż na wyspach. Ostatni obiad i wracamy do mariny.

Nasz kierowca nie mówi po angielsku, ale zna polskich piłkarzy. Wiezie nas ścigając się ze swoimi kolegami. Bez różnicy, autobus, taxi, wszyscy trąbią i biją rekordy prędkości w mieście.

Lotnisko. Za kilka godzin będziemy w Polsce. Znowu będzie zimno, znowu będę tęsknił za wodą i żaglami. Może na tym to właśnie polega?